

Kronika tygodniowa.

Zauważam przystąpię do materiału, który był przygotowany do niniejszej kroniki, muszę jeszcze zakończyć poprzednią. Uciał jej znowu ogon nielitościwy pan metrapaź, nie mający na to żadnego wzglądu, że atrament obecnie coraz droższy! Niech mu Pan Bóg tego nie pamięta, bo ja mu to przebaczam!

Narzekalem wówczas na różne braki i niedomagania życiowe, będące następstwem wojennych czasów, ale, dzięki właśnie panu metrapaźowi, nie mogłem dopowiedzieć tego, co miałem na myśli.

Brakuje nam prawie wszystkiego, na to się zgadzam, ale przecież stwierdzić muszę, że mamy czegoś nawet zbyt dużo, tak, że moglibyśmy się tem podzielić z innymi. Zachodnie prowincje zazdroszczące nam stale, iż mlekiem i miodem opływamy, mają teraz bardzo wdzięczne pole do popisu. Odstąpimy im zupełnie bezinteresownie.

Mamy mianowicie za dużo złodziei różnego kalibru i to takich, którzy mają swe firmy już dawno zarejestrowane w sądzie, jak również i, nazwijmy ich, pokątnych, to jest, pracujących na własną rękę w zupełnej cichości i odosobnieniu. W ostatnich zwłaszcza czasach, gdy warunki bytu stały się tak ciężkie, namnożyło się ich takie mnóstwo, iż prawie dnia niema, by kroniki policyjne nie notowały, że tam a tam dokonano kradzieży. Władza niektórych sprawców dostaje w swe szpony, za innymi śledzi i, nie zważając bynajmniej na to, że to przecież przemysł krajowy, który należałoby popierać, łamie głowę ciągle nad tem, jakiego radykalnego użyć środka, by społeczeństwo uwolnić od tej plagi.

Ktoś podał projekt, iż należałoby w tym kierunku spróbować zdolności naszych telepatów, ogłaszających stale, iż telepatya przyczynia się (a przynajmniej może...) do rozwiązania nawet najbardziej zawiłych zagadnień z dziedziny kryminologii.

Zwrócono się więc do jednego z telepatów z prośbą, by zechciał przyłożyć rękę do wykrycia zbrodniarza, który dopuścił się jakowejś kradzieży. Odparł, że i owszem, ale jest jeden warunek.

— Jaki? — zapytano.

— Muszę mieć odpowiednie medyum! — brzmiała odpowiedź.

— Prosimy o bliższe określenie...

— Hm!... Jakby to powiedzieć!.. Musi to być osoba, mająca dość fluidu.

— Taka się znajdzie! To nie ulega wątpliwości!

— ...No i wiedząc o tem, kto ukradł i gdzie schował!... Ono mnie zaprowadzi, a ja już znajdę!...

Ponieważ jednak o takie właśnie medyum było trudno, całą sprawę odłożono na powojenne czasy, gdy telepatya będzie miała więcej sposobności do rozwoju.

Kto jednak wie, czy owa różdżka czarodziejska, o której tyle swojego czasu pisano i mówiono, nie mogłaby oddać pewnych usług, dajmy na to przy wyszukiwaniu magazynów artykułów spożywczych... Prawdopodobnie w niektórych okolicach miasta (zwłaszcza zaś na Kazimierzu) ściany piwnic, gdyby mówić umiały, mogłyby dużo powiedzieć. Potem tą samą czarodziejską różdżką możnaby owym hyenom aprowizacyjnym, dzięki niej wykrytym, wymierzyć należytą karę, wyliczając ją w gotówiznie (one tylko za gotówkę sprzedają!...) na najczulsze miejsce ich cielesnej powłoki.

W każdym razie byłby to pewien tryumf dla telepatyi, mającej, obecnie przynajmniej, zbyt mało u nas zwolenników.

Tyle należało do poprzedniej kroniki, wobec czego przechodzę do innego materiału, na czoło którego wybija się naturalnie wybuch w Mogile, dzięki któremu straciłem swe okulary, które w owym krytycznym dniu, a raczej w przeddzień położyłem własnoręcznie na stole i na drugi już ich tam nie znalazłem. Czy zdmuchnął je prąd powietrza, czy też może znajdę je za kilka dni w której kieszeni, tego na razie powiedzieć nie mogę, w każdym wypadku przecież na drodze prawa dopominać się muszę o odszkodowanie, zwłaszcza, że bez okularów nie mógłbym sobie w życiu dać rady. Raz mnie brak ich o mały tigił nie rozłączył z mą pocziwą Weronisją. Przez pomyłkę pocałowałem wówczas kucharkę, w tem jednak świętem przekonaniu, że to moja prawowita małżonka. Ile było z tego powodu kłopotów, tłumaczyć i t. d. nawet nie chcę wspominać, by niepotrzebnie nie wywoływać napowrót wilka z lasu!

Ale wracajmy do rzeczy!

W owym dniu, kiedy miała miejsce ta katastrofa, o godzinie siódmej minut trzydzieści rano, spałem jeszcze snem sprawiedliwych, jak to przystoi równoważonemu obywatelowi, którego żona na świeże powietrze nie wyjechała. Obudziłem się, to prawda, ale zaraz potem zamknąłem najpierw prawe oko, potem

lewe i już miałem się przewrócić na drugi bok (a snuły mi się numery na loteryę, jakie jednak, zapomniałem...), gdy Weronika złapała mnie za rękę, wołając:

— Prędko!... Do piwnicy!...

— Do piwnicy? — rzekłem, otwierając, dla rozmaitości, najpierw lewe oko, potem prawe. — A po cóż ja tam mam iść?... Wiem przecież, że węgla niema, brak też wszelkiej wilgotności...

Ale Weronika nie dała za wygraną i wołała dalej, w coraz większym ferworze:

— Wstawaj!... Prędko do piwnicy!...

Przetarłem jeszcze raz oczy (choć nie wiem, czy to przedtem zrobiłem!...) i zapytałem zupełnie spokojnie:

— A to po co?...

— I ty jeszcze pytasz?!... — wrzasła mi nad uchem, zdzierając ze mnie koidrę. — Napad lotników nieprzyjacielskich na Kraków!... Słyszysz, jak gwizdają syreny?

— Kochanko! — odparłem. — Zapewne gwizda ci w nosie! Wczoraj narzekałaś przecież na katar!...

— Dzwonią na alarm!... — ciągnęła dalej; naciągając drugi pantofel.

— Pewnie w uchu ci dzwoni!... To się zdarza przy katarze...

Tymczasem huknęło drugi raz. Szyby zadzwieczyły, ale, na złość firmie Grünwaldów, żadna z nich nie pękła... Zacząłem wierzyć, że dzieje się coś niesamowitego i jednym susem znalazłem się okok łóżka, ubrałem się prędko, nie zjadłem nawet śniadania i by mieć autentyczne wiadomości z pierwszej ręki, podążyłem na miasto. W pierwszej chwili miałem zamiar kupić sobie „Kuryerka“ w tem przeświadczeniu, że „tam o tem coś już stoi“, ale zaraz przyszła refleksja, że to przecież nie jest możliwe.

Na plantacyach spotkałem znajomego. Pędził, tak samo, jak ja, ale z wprost przeciwnej strony.

— Panie! Bomba!... — zawołał, ujrawszy mnie.

— Gdzie?... — zapytałem zaciekawiony.

— Ba! Gdybym wiedział, nie pytałbym pana o to!... Pan, jako dziennikarz, powinien być o tem najlepiej poinformowanym!

— Panie kochany! — tłumaczyłem się. — Ja dopiero się obudziłem, nie wiem o niczem!

— Jako dziennikarz, powinien pan o tem wiedzieć!... To pański obowiązek!... Za cóż płacę prenumeratę!...

— Dowie się pan, ale we czwartek, gdy wyjdą „Nowości“!

— Ja chcę dziś!... Zaraz!... W przeciwnym razie proszę mnie wykreślić z listy abonentów!...

— Z tem żądaniem raczy się pan kochany zwrócić do administracji naszego pisma!... To nie leży w mej kompetencji!... Ale, powiedz mi pan, co to tak strzeliło?

— Z pewnością bomba!

— Jaka bomba?

— No, jaka?... Taka, jak swojego czasu na ulicy Jasnej!

— Śmiej się pan z tego... To była błąka, nie bomba!

— Co pan mówi!... Sam widziałem na swoje własne oczy porcelanowe czerepy...

— Może to ta firma, w której skład rzekomo bomba uderzyła, chciała sobie zrobić reklamę?

— Co też pan mówi!... Taka solidna firma reklamy nie potrzebuje!...

— I ja jestem tego samego zdania!... No, ale dajmy spokój tamtej bombie, powiedz mi pan, co to tak huknęło?...

— Gdybym wiedział!... Dlatego przecież pana o to pytałem!... Moja teściowa siedzi w piwnicy...

— Moja nie!

— Dlaczego?

— Bo ja nie mam teściowej!...

— Toś pan szczęśliwy!...

To rzekłszy, westchnął serdecznie. Ostatecznie pokazało się, że co się tyczy owego huknu, to obaj nic nie wiemy, ja, choć dziennikarz, a ów jegomość, choć urzędnik magistratu, który z obowiązku powinien być dokładnie poinformowany o tem, co się dzieje w mieście. Mam go jednak za wytłumaczonego, wybuch bowiem miał miejsce nie na terytorium miasta Krakowa, ale w Mogile, dokąd dawniej jeździło się we wrześnie na odpusty.

Ciekawością wiedzeni, doszliśmy obaj aż w samo centrum miasta i tutaj aż do samego południa zbieraliśmy różne informacje „na własnym drucie“ i bez drutu. Nasłuchaliśmy się tylu najokropniejszych okropności (każdy z opowiadających widział wszystko na własne oczy lub przynajmniej słyszał na własne uszy...), iż nie pozostawało nic innego, jak poczekać na wydanie wieczorne dzienników. (Ciekawy jestem, dlaczego tak się nazywają, skoro wychodzą pod noc?... Przyp. zecera).

I tak się też stało. Dowiedzieliśmy się, czarne na

białym, o przyczynie i skutkach eksplozyi, które jednak były daleko straszniejsze, gdy się wróciło po dziesiątej do domu, równocześnie na śniadanie, obiad i kolację, których, nawiasem mówiąc, nie było, gdyż jak się później okazało, skutkiem wybuchu w Mogile popsuł się piec w Krakowie...

Smutne to wspomnienie, rzucmy więc na nie raczej zasłonę, konstatując jedynie, iż wielu było takich, którzy byli pewni, że to na Kraków napadła już eskadra dwudziestu pięciu tysięcy amerykańskich aeroplanów, o których w poprzednich kronikach wspominałem. Wynik eksplozyi w mieście: trochę strachu, więcej poślizgniętych szyb. Przyczyna: jak się zdaje, wpływ gorąca.

Z tej okazji otrzymałem onegdaj list następującej treści:

„Wielmożny Panie Kronikarzu!

Kilkakrotnie w sposób uszczypliwy wyrażał się pan w swych tygodniowych referatach o krakowskich budynkach, twierdząc, że budowane są według prawideł nowoczesnej techniki, co zaś za tem idzie, iż (to było napisane między wierszami...) powinny się zważyć i to nie czekając nawet na trzęsienie ziemi.

Na razie trzęsienia ziemi nie było, był jednak wybuch, a żaden z domów, które są naszym dziełem, dotąd się nie zawalił!

I co Pan na to?... Jak Pan teraz wygląda?... Upraszamy o zrehabilitowanie nas w oczach P. T. Publiczności, w przeciwnym bowiem razie musielibyśmy użyć środków przymusowych.

Z poważaniem

Grono architektów i budowniczych.“

P. S.

Gdyby Pan miał zamiar rozpoczęcia jakiej budowy, polecamy się łaskawym względem. Na każde żądanie możemy służyć ofertami“.

Tyle miałem powiedzieć a raczej napisać o eksplozyi, reszta miejsca, jakie mam do rozporządzenia, należy się polityce przedewszystkiem, gdy zaś okoliczności pozwolą i innym sprawom.

Obecnie zaś konstatujemy, iż ogólne rozpolitykowanie, pomimo pory letniej, osiągnęło punkt najwyższego napięcia i grozi każdej chwili katastrofą. Można powiedzieć, iż dziś w przeciwieństwie do dawnych czasów, gdy na porządku dziennym były kombinacje strategiczne, każdy, czy to stary, czy młody, mężczyzna, czy kobieta, zajęty jest tylko polityką i to zakrojoną na jak najszerzą skalę i stawia horoskopy na przyszłość, nawet w tym wypadku, gdyby obecna wojna miała trwać lat trzydzieści (nie licząc niedziel i świąt).

Przedewszystkiem więc wygłaszają mowy wielcy politycy, którzy tem się tylko zajmują, więc różni panowie Czerniny, Michaelisy, Cecile Rhodesy, Lloyd George, Riboty, Kiereńscy *et tutti quanti*, a przedstawiają sprawę tak jasno, iż nie ulega już żadnej kwestyi, że pokój wisi w powietrzu, ale nie wiadomo, jak i gdzie, z drugiej zaś strony można być pewnym, iż bez czwartej kampanii zimowej się nie obejdzie. Najważniejsza rzecz, kto ma pierwszy wyciągnąć rękę do pojednania i na jakich warunkach. Te warunki, to główny i najważniejszy szkopuł, o który stale się wszystko rozbija, choć wytyczna już postawiona: bez aneksyi i odszkodowań!

Nawet młodzież szkolna, nie wyłączając ludowej i wydziałowej, bierze żywy udział w życiu politycznym i żąda swego przedstawiciela w przyszłym kongresie pokojowym, licząc w tym kierunku na wybitne poparcie prezydenta Wilsona i reszty koalicji.

Pisma codzienne zajmują się też polityką nie na żarty i to nie tylko wynurzeniami wybitnych polityków, ale nawet i ich strojem. Wiemy więc, że Kiereński, który, według telegramów, usuwa się już z życia politycznego, chodzi ubrany w czarną, zapiętą do góry „litewkę“ z najlepszego materiału, pochodzącą prawdopodobnie z pierwszorzędnej pracowni Petersburga, a krój spodni nie pozostawia nic do życzenia. Ku tym to właśnie spodniom skierowane są wszystkie westchnienia rosyjskich patryotów i w nich, a raczej w tym, który w nich tkwi, cała nadzieja, że zbawi Rosję. Widocznie jednak czuje, że „nie da rady“, skoro ma zamiar wycofać się z życia politycznego.

Polityk przeciw politykowi nie równy. Tak, jak są armaty o rozmaitym kalibrze, tak też mamy różnych większych i mniejszych polityków. Do największych zaliczam pana Kamila Huysmansa, który łaskawie obiecał nam upragniony dostęp do morza, ale... po umiędzynarodowieniu dróg wodnych. Możemy być wtedy od jego brzegów bardzo daleko, ale nikt nam nie zabroni Wisłą pożeglować do Gdańska, lub Dniestrem do morza Czarnego. Ta druga podróż będzie trudniejsza, Czarne bowiem morze zabiera dla siebie Ukraina. Nad tem ma czuwać nowy minister-rodak ukraiński. Kto nim będzie, dotąd nie wiadomo, choć kandydatów jest wielu, n. p. Wassilko, Kost Lewickij lub w ostatnim Staruch.